

**[Jan Bohatyrowicz]**

W tym gwarnym ogródku było tak ciasno, że woźnicy zabrakło miejsca do siedzenia: kierował on końmi stojąc u samego brzegu wozu, a można by przypuścić, że postawę tę przybrał nie z konieczności, ale przez zalotność, dlatego aby w najkorzystniejszym świetle wydać się współtowarzyszkom podróży. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki i tak zgrabny, jakby go matka natura z lubością i wielkim staraniem na łonie swym wyhodowała. Tymczasem nie co innego, tylko ciężka praca około zdobywania jej darów, gorące jej żary letnie i dzikie polne powiewy nadały temu ciału taką harmonię i siłę, że trzęsący się i podskakujący wóz nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linii. Od ogorzałej cery jego twarzy silnie odbijały złociste, bujne wąsy i jasnozłote włosy, opadające spod czapki na kołnierza szarej, krótkiej kurty, ku ozdobie zapewne zieloną taśmą oszytej. Niedbale w ogorzonych rękach trzymając lejce i nie odwracając twarzy ku wiezionym przez się kobietom, odpowiadał wesoło na zapytania ich i przycinki, czasem męski śmiech swój łączył z chórem cienkich, piskliwych śmiechów dziewcząt. (E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. I, s. 16-17)

**[Dwór w Korczynie]**

W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacji, buldenezów i jeszcze niższą jaśminów, spirei i krzaczastych róż. Dokoła starych, kiedyś kosztownych sztachet, topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg okalających trawnik i rosnące wśród niego potężne grupy drzew i krzewów stał dom drewniany także, niepobielony, niski, ozdobiony wijącymi się po jego ścianach powojami, z wielkim gankiem i długim rzędem okien mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego znac, bo w aleje z grubych drzew wysadzonego, ogrodu. Dalej widać było u jednego z krańców ogrodu przeświecający przez zieloność ów wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tym miejscu okrągłym łukiem skracająca się za bór ciemny.

Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych, szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki i wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działa się tu teraz, aby o tym wiedzieć, trzeba było dowiadywać się z bliska, ale co w oczy od razu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości. Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpieraniem, naprawianiem, oczyszczaniem. Sztachety psuły się tu po wielokroć, ale zawsze je naprawiono, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzińca i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianymi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem wsuwał się w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozorów ruiny. Rzadkich, kosztownych kwiatów i roślin nie było tu nigdzie, ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno znać zasadzone, bo potężnie rozrosłe krzewy wyglądały świeżo i zdrowo. Dworowi temu, w którym jednak widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic od dawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości. Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmierne bogactwo napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały mimowolną poezję wspomnień. Mimo woli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tym miejscem przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłaganie unosząca z sobą ludzkie rozkosze i rozpaczę, grzechy i — prochy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i dwór cały, cechy dawnego bogactwa chronionego przez czujne i niestrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosi i jeleni; pomiędzy nimi wisiały uschłe wieńce ze zboża przetykanego czerwienią kalinowych i jarzębinowych jagód; naprzeciw drzwi wchodowych wschody wąskie, niegdyś wykwintne, a dziś ślady tylko dawnej polityry noszące, prowadziły do górnej części domu. Z tych sieni dwoje drzwi na oścież rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej — do wielkiego o czterech oknach, salonu. Oba te pokoje dostatecznie zapełniały sprzęty, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupionymi były przed dwudziestu przeszło laty i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i ówdzie niewprawną ręką wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą materię, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze tu i ówdzie złożonymi bukietami i arabeskami, zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopii ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich, z wytartą poźłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie, z błyszczącymi brązowymi klamkami, dywany duże i spłowiałe. W rogu salonu piękny fortepian, u okien ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, zszywał i naprawiał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać, stopniowo, lecz nieubłaganie proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. II, s. 20-22)

**[Genealogia Korczyńskich]**

Benedykt Korczyński należał do niewielkiej w jego pokoleniu liczby ludzi, którzy odbyli wyższe naukowe studia. Zawdzięczał to czasom, w których upłynęła młodość jego ojca, tym czasom, które światła swe i wzloty otrzymywały od wielkiego i szeroko promieniejącego ogniska. Ogniskiem tym, w samym sercu prowincji roznieconym, była akademia wileńska, a Stanisław Korczyński, syn napoleońskiego legionisty był przez czas jakiś jej wychowawcą. To zapewne, a może także rodowe skłonności, które nie zawsze, ale często jak krynica w łono ziemi w grunt wielu pokoleń wnikają, uchroniły go od zarazków unoszących się zwykle nad stojącymi wodami. Na gruncie pańszczyźnianym wytwarzającym gotowe dostatki, pod skalistym sklepieniem rozpęd wzroków i ruchy ramion tamującym, społeczeństwo było wodą stojącą, pełną zarazków oglupienia, zezmysłowienia się, lenistwa i apatii. Organizmy ludzkie — biedne te gąbki, które stosownie do drzewa, na którym rosną, wsiąkają w siebie rozkładające lub krzepiące soki — przeciw zarazkom broniły się, jak mogły. Mnóstwo uległo; pewna jednak liczba uzbrojona do walki w odziedziczone lub zdobyte siły oparła się zwycięsko. Do ostatnich należał ojciec Benedykta.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. III, s. 48)

Benedykt skończył szkołę agronomiczną i do swego Korczyna wrócił w roku 1861. Matki nie miał już od dawna; ojciec mu zmarł przed paru laty; siostra była zamężna. W zamian mniej niż o dwie mile od Korczyna, na pięknym folwarku swym gospodarował od lat kilku już ożeniony, starszy brat jego, Andrzej; a młodszy, po skończeniu uniwersyteckiego kursu, tylko co wrócił do rodzinnego domu z zamiarem użycia w nim niedługiego odpoczynku. Oprócz tego znalazł w domu krewną swoją, od dzieciństwa sierotę i przez rodziców jego wychowaną, Martę Korczyńską. Miała ona podówczas lat dwadzieścia cztery i w pełnym znaczeniu tego wyrazu można było stosować do niej nazwę dziewoi. Znadto może wysoka, ale kształtna i ruchliwa, ognistooka, wesoła i wiecznie czynna, tak mu dom napełniała krzątaniem się swym, ładem i dostatkami, że opustoszenia jego prawie nie uczył. Zresztą trzech bracia byli ze sobą zawsze w przyjaźni i zgodzie, a teraz do życia ich wpłynął pierwiastek, który z nich uczynił trzy niby strzały równym pędem ku jednemu celowi lecące. We wszystkich trzech ozwała się naraz krew żołnierska spod Baru i Samosierry, to zaś, co w pokoleniu najbliższym zdrzemało było i tylko przez sen niekiedy płakało, w nich uderzone dzwonem czasu krzyknęło i na skrzydłach fantazji wleciało w wysoko gorejący płomień. Hej! Gorączką i burzą przeleciały im te dwa lata! Stojące wody społeczne zaszumiały, wzdęły się i wyrzuciły w górę kipiące kaskady; w martwej atmosferze wichry zaśpiewały roznosząc po ziemi złote tumany, a na niebie malując jutrzeńki i tęcze. Duch demokratyzmu równającym pługiem orał społeczną glebę. Wyżyny, skruczą zdjęte, pochylały się ku nizinom, gotowe do wynagrodzenia krzywd, zebrażące prawie o życzliwość i ufność. Przyjazne i poufale stosunki zapanowały były wtedy pomiędzy Korczynem a wsią sąsiednią, noszącą nazwę Bohatyrowicze. Mieszkańcy tej wsi mieli kiedyś pergaminy i przywileje szlacheckie, ale przez zbieg okoliczności różnych utracili je od dość dawna i wiedli znojne, ciasne, ubogie życia małych rolników.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. III, s. 50-51)

**[Benedykt i Emilia]**

— Takem się zmęczył, moja Emilciu — zaczął — że już trochę odpocząć muszę. Niech tam sobie ekonom i robotnicy poczekają, a ja kwadransik przy tobie posiedzę... Uf! Te żniwa! Nim je człowiek przebedzie, sto upałów go spali i sto strachów po nim przejdzie...

— Ja także — z cicha odparła kobieta — czuję się bardzo zmęczona upałem.

— Ale co tam ten upał! — ręką po spoconym czole przesuwając ciągnął Benedykt — fizyczną przykrość każdy znieść może, jeśli jest przy tym spokojny...

— A cóż cię znowu tak bardzo niepokoić może? — z ledwie dosłyszalną ironią zapytała żona.

— Hm! Zawsze mnie o to pytasz, zawsze ci wszystko opowiadam i zawsze pytasz znowu...

— Tak niezdolna jestem do zrozumienia i zapamiętania wszystkich twoich kłopotów i interesów...

Z większym niż przedtem znużeniem przechyliła się na poręcz ławki i wygodnie drobne swe stopy na podnóżku ułożyła.

— Jednakże — z trochę irytacji w głosie zaczął znowu Benedykt — rzeczy te są bardzo zrozumiałe i do zapamiętania łatwe...

Do końca życia chyba nie zapomnę, w jakim byłem strachu, kiedy przeszłej jesieni z powodu złych zbiorów nie mogłem na czas zapłacić bankowej raty... Wszakże już Korczyn opisywać miano i ledwie nieledwie dostawszy pieniędzy, piorunem z nimi do Wilna leciałem. Całą przeszłoroczną jesień biłem się jak ryba w wodzie... Nie daj Boże takiej drugiej jesieni...

Pani Emilia smutnie wstrząsnęła głową.

— Mnie także zeszłoroczna jesień wcale niewesoło przeszła. Chorowałam na zapalenie oskrzeli... i sama w domu byłam... jak pustelnica...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. III, s. 56-57)

**[Emilia Korczyńska]**

Dlaczego człowiek ten stał się taki, jaki był teraz, ani rozumiała, ani dochodziła. Dość, że od lat już kilku doświadczać zaczęła uciec rozczarowania i zawodu, które czyniły ją smutną i — chorą. W tym odludnym i cichym Korczynie, przy tym człowieku spracowanym i nie mającym czasu ani chęci do podzielania jej ulubionych rozrywek i zajęć wprost traciła ochotę do życia. Objawiało się to w coraz wzrastającym jej wstręcie do wszelkiego ruchu. Po cóż by zadawać sobie miała jakąkolwiek fatygę, skoro sobie przez nią żadnej przyjemności zdobyć nie mogła? Parę razy dla wzmocnienia sił i nerwów wyjeżdżała za granicę i wracała istotnie wzmocniona i odrodzona. Ale w kilka miesięcy po powrocie wracały jej z nadatkiem wszystkie słabości i smutki. Przestała bywać u sąsiadów, bo byli dawno znani i niezabawni; nie wychodziła na przechadzki, bo nic ciekawego ani miłego nie znajdowała w widoku nieba, ziemi i wszystkiego, co było na nich. Ogarniało ją coś bardzo podobnego do lenistwa

ciała i duszy. Samo przejście z domu do ogrodowej altany nużyło ją niekiedy. Szczęściem było dla niej jedynym, że lubiła czytanie i ręczne robotki. Pochłaniała dużo książek, wyrabiała mnóstwo poduszek, serwet, kołder itd. Przy tym tęskniła i czuła się coraz częściej napastowana przez różne bóle, dolegliwości, osłabienia, które zawsze przewidywała z daleka, spotykała z przestraczeniem i usiłowała odegnać mnóstwem starań i środków. Takim było jej istotnie nędzne życie...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. III, s. 60)

### **[Arystokracja]**

#### **[Andrzejowa Korczyńska]**

Gospodyni domu, cała błyszcząca od dżetowych ozdób, które ją okrywały, dała znak wstania od stołu. Z najstarszego przy stole miejsca powolnym ruchem podniosła się wdowa po Andrzeju Korczyńskim, kobieta na wiek swój jeszcze zadziwiająco piękna. Matka trzydziestoletniego syna, mogłaby prawie podbijać serca ludzkie, ale jak ogólnie w okolicy tej wiedziano, wszelka zalotność była jej zawsze i zupełnie obca. Od owej przed dwudziestu trzema laty wydarzonej straszliwej chwili, w której dowiedziała się, że jest wdową, nie zdjęła z siebie ani razu sukien żałobnych i w posagowym swoim majątku, wychowaniu i pieszczaniu jedynaka wyłącznie oddana, żyła jak zakonnica, świata unikając, a wszelkie przypuszczenia o możliwości powtórnego wyjścia za mąż odpierając nieprzezwyrodnym chłodem. Toteż cnoty czystości i poświęcenia zdawały się od stóp do głowy przyoblekać jej wysoką i bogato rozwiniętą kibić, którą malowniczo opływała czarna i ciężka suknia. Czarne koronki i gładkie pasma jasnych, siwiejących włosów żałobną ramą otaczały twarz jej o rysach wydatnych i prawidłowych, delikatną bladeością okrytych i zmaconych ledwie dostrzegalnymi zmarszczkami, które zbiegały się w drobne snopy około wielkich, smutnych oczu i chłodnych, dumnych ust. Najdrobniejsza błyskotka nie ożywiała jej wdowiego stroju; uśmiech wesoły bardzo rzadko oświecał zamyślane rysy. Gdy szła albo do kogo przemawiała, głowę podnosiła wysoko i powieki spuszczała, co rzucało na nią podwójny wyraz wyniosłości i skromności, w którym przemagała wyniosłość. Jak wysoce poważali ją członkowie jej rodziny, świadczył o tym lęklivy nieledwie pośpiech, z którym gospodarz domu, gdy tylko powstała z miejsca, podawał jej ramię.

#### **[Darzeczcy]**

Jakiś otyły i na jowialnego gastronomo wyglądający sąsiad ofiarował się na towarzysza siostrze pana Benedykta, pani Jadwidge Darzeckiej, całkiem do brata niepodobnej, przysadzistej, rumianej, gadatliwej i zanadto bogato w aksamit i brylanty strojnej kobiecie, która rękę swą bransoletami okrytą kładąc na ramieniu sąsiada, zza tłumu osób z krzesel powstających dojrząc usiłowała, z kim dwie dorosłe i dwie niedorosłe córki jej od stołu odchodzić będą. Mąż jej, człowiek wysoki, sztywny, siwiejący, z arystokratycznymi rysami twarzy, który w czasie obiadu płynnie i kwiecicie mówił o Włoszech, Paryżu, Ostendzie i różnych innych wslawionych punktach Europy, za gospodarzem domu i jego bratową szedł z panią Emilią. W ogóle na rodzinie Darzeckich znać było niepospolite w tych stronach bogactwo. On miał ruchy i mowę człowieka silnie stojącego na złotych nogach; panie były strojne i mówiły wiele o zagranicy i zabawach.

#### **[Teofil Różyc, Klotylda, Zygmunt Korczyński]**

Równie bogaty albo i bogatszy jeszcze Teofil Różyc siedział był przy stole obok małej, zgrabnej, młodzietkiej blondynki, która szeleszcząc swą jasną atlasową suknią, żywo poruszając głową ubraną w kwiaty, z dziecinnymi prawie ruchami obnażonych śnieżnych ramion, szczebiotała mu po francusku: *comme quoi*<sup>1</sup> przed dwoma laty męża swego, Zygmunta Korczyńskiego, na wodach poznała; *comme quoi* podobał się jej od razu, ale rodzice jej, w odległych stąd stronach mieszkający, długo zgodzić się nie chcieli, aby ona tak wcześnie za mąż wychodziła; *comme quoi* matka Zygmunta, pani Andrzejowa Korczyńska, tam przyjechała, za synem się wstawiła i wszelkie przeciwności zwyciężyła; *comme quoi* przed dwoma laty z Zygmuntem do tej okolicy przyjechała, ale okolica nie podoba jej się bardzo, naturę ma monotonną i prozaiczną, towarzystwa i rozrywek wcale nie ma; Zygmunt malować tu nie może, bo mu brakuje natchnień i tematów, więc pewno oboje wkrótce do Monachium lub Rzymu wyjadą, gdzie talent malarski Zygmunta etc., etc. Różyc, ze swą wykwintną postawą i białą jak welinowy papier twarzą, grzecznie słuchał tego ptaszęcego szczebiotu, podtrzymując go rzucanymi czasem słowami, a często zza szkieł swych binokli patrząc ku przeciwnemu punktowi stołu, na którym Justyna, po francusku także, rozmawiała z niemłodą i bardzo w tym towarzystwie osamotnioną cudzoziemką, nauczycielką młodszych panien Darzeckich. Parę razy spojrzenia jego, wracając od Justyny, zbiegały się w drodze ze spojrzeniami siedzącego po drugiej jego stronie Zygmunta Korczyńskiego, przystojnego, choć trochę zbyt bladego i na wiek swój chmurnego bruneta. Obaj spoglądali często w jedną stronę, co na cienkie wargi Różycy sprowadziło szybki, ironiczny uśmiech. Ale młodzietka Klotylda, szczebiocząc, gestykulując, często w twarz męża wlepiając długie spojrzenia, nic wcale nie spostrzegła, a kiedy wstawać od stołu zaczęto, z dziecinną prawie wesołością ramię Zygmunta pochwyliła i wznosząc ku niemu swą zgrabną główkę i swe szafirowe oczy, do niego znowu szczebiotać zaczęła.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 74-75)

#### **[Znużenie młodej arystokracji]**

— Pomyślałem sobie właśnie w tej chwili — więcej jeszcze niż zwykle cedząc sylaby zaczął hrabia — jak to dziwnie i... trochę... ambarasująco... poznawszy te wszystkie miejsca, o których tylko co mówiliśmy, spaść na jakąś jałową i głuchą pustynię...

Najpewniej wszyscy trzej razem o tym samym pomyśleli. Różyc nerwowym ruchem pociągnął sznurek od binokli i uwalniając na chwilę od szkieł oczy swe, których czarne źrenice przygasłe były i smutne, niedbale wymówił:

1 *comme quoi* (franc.) – jak to.

— Tout lasse<sup>2</sup>.

— Ale pan — zwrócił się do Różyca Zygmunt Korczyński — nie miałeś jeszcze czasu zmęczyć się tą głuchą i nudną pustynią, o której wspomniał hrabia, od trzech miesięcy dopiero mieszkając w swoich tutejszych majątkach. Ja, który obywatelskiego nowicjatu liczę już dwa lata, mogę powiedzieć panu, że... ambaras mój, jak wyraził się hrabia, granic nie ma i że dotąd jeszcze nie doszedłem do zrozumienia, jakim sposobem pośród tych stodół, obór i tak zwanych interesów wyżyć potrafię...

— Na pociechę swą i uprzyjemnienie czasu masz pan przynajmniej piękny talent — uprzejmie podjął Rózyca.

Po bładej, ciemnymi bokobrodami otoczonej twarzy Zygmunta, przebiegł bolesny prawie niepokój.

— Zaczynam wątpić, czy go posiadam — z pozorną niedbałością, ale przykrym zagięciem ust odpowiedział.

— Jakież teraz płótno przygotowujesz pan... — zaczął hrabia.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 82-83)

### [Naiwność Witolda]

— Przepraszam pana — zaczął głosem prawdziwie młodzieńczym i trochę więcej niż wypadało podniesionym — ale tak chciałbym wiedzieć, jakie reformy i urządzenia wprowadzić pan zamierza w swojej Wołowszczyźnie. Słyszałem, że są to do-bra bardzo zaniedbane, i jak dowiedziałem się, że pan w nich sam zamieszkałeś, ucieszyłem się nadzwyczajnie. Tak cieszyłem się, doprawdy, że będę miał przyjemność poznać pana, i tak obiecywałem sobie obszernie o tym z panem pomówić... że... że nie mogłem sobie odmówić...

Przed kilku godzinami młodzietki syn gospodarstwa został przez ojca swego tym z gości, którzy go jeszcze nie znali, przedstawiony; wiedząc więc, kim był ten, kto go teraz z widocznym połączeniem żarliwości z nieśmiałością napastował, Rózyca uśmiechnął się uprzejmie i po chwili wahania odpowiedział:

— Bardzo mi przyjemnie i chciałbym prawdziwie życzenie pańskie spełnić... tylko... tylko, że o wprowadzeniu reform czy ulepszeń w Wołowszczyźnie dotąd nie pomyślałem...

Szczerze, naiwne, głębokie zdziwienie odbiło się na ruchliwej i wyrazistej twarzy studenta.

— Jak to!... — zaczął — a ja myślałem, że właśnie tacy ludzie jak pan, młodzi i możni... dawać muszą inicjatywę... przykład... naukę...

— Ależ ja wcale nie jestem już młody! — z silnym drganiem czoła i trochę przykrym śmiechem zawołał Rózyca.

— *Quand on a mange un million, on se sent un siecle sur le dos, n'est-ce pas*<sup>3</sup> — z trochę koleżeńskiej poufalości szepnęła do Różyca hrabia.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 83-84)

### [Justyna Orzelska]

W gronie tym złożonym ze starszych Darzeckich i kilku innych panien, mniej lub więcej wykwintnie ubranych i wesoło rozmawiających, znajdowała się i Justyna. Ciemny i niekosztowny jej ubiór uderzająco wyróżniał się pośród różnobarwnych i jasnych strojów, a głowa, tylko czarnym warkoczem i parą świeżych kwiatów ozdobiona, prawie surowego charakteru nabierała od wszystkich tych strojnych, ruchliwych i wesołych główek. Ona wesoła nie była. Już Darzeckie, bliskie jej krewne, uczyniły jej uwagę, że jak zazwyczaj ubrała się niewłaściwie i w ubraniu tym, a także ze swym milczącym usposobieniem, wygląda jak desperatka.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 89)

Dotąd miłość, uciechy jej, cierpienia i marzenia pożerały jej czas i do syta karmiły myśli i serce. Gdy tego pokarmu zabrakło, spostrzegła i uczuła, że nie posiada żadnego innego dla nasycenia ciężko wlokących się godzin i dni; że w niej i dokoła niej nie ma nic takiego, na czym by mogła zawiesić kotwicę nadziei jakiegokolwiek, choćby z pospolitego metalu ukutej. Czasem, gdy zamykała oczy i myślała o tym, co z nią jest i być może, zdawało się jej, że patrzy w jakąś bezmierną pustkę, po której niby widma strapione i wątpliwe błąkały się młode siły jej ciała i ducha...

Spojrzała na niego, w oczach jej zamigotał niepokój. [...] Nie była dzieckiem, miała lat dwadzieścia cztery i kiedyś bardzo kochała — wiedziała, czuła, czym bywa i jakie przemoce wywiera szał krwi i serca... [...] Kimże więc była? Jakie było jej miejsce i znaczenie pośród tych, z którymi upływało jej życie? O! Naturalnie, powiedziano jej to kiedyś i sama to przyznawała — była ona nie wiedzieć kim!

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 114-115)

### [Jan Bohatyrowicz orzący przed spotkaniem z Justyną]

Od jednego ze wzgórz ku gruszy polnej posuwał się pług, ciągnięty przez parę koni, z których jeden był kasztanowaty, z kono-piastą grzywą, drugi — gniady, z białą nogą i białą łatą na czole. Za pługiem, z rękami opartymi na wysoko ster czących \*rączkach\* pługu, szedł wysoki i zgrabny człowiek, w białym płóciennym surducie, długim do kolan obuwiu i małej czapce, która skórzanym daszkiem osłaniając mu czoło, nie zasłaniała z tyłu głowy jasnozłocistych włosów. Szedł prosto, równym krokiem bez żadnego widocznego wysilenia; lejce z grubego sznura mocno z sobą połączone i wzdłuż boków końskich wyprężone, poniżej ramion opasywały mu plecy. Idąc wygwizdywał trzecie już strofę piosnki:

*Rybacy, rybacy, sieci zarzucajcie,*

*Nadobnego Jasia na brzeg wyciągajcie.*

2 *Tout lasse* (franc.) - wszystko nuży.

3 *Quand on a mangé...* (franc.) - Gdy się przejadło milion, czuje się cały wiek na barkach, nieprawdaż?

Pług posuwał się dość prędko; lemiesz głęboko pograżał się w rolę, po żelaznej, błyszczącej policy nieustannie przepływały strumienie ciemnej, w mialki piasek rozsypującej się ziemi. Niewielkie konie z połyskującą sierścią szły równo i raźnie, a w niejkiej od nich odległości kilka wron, zdając się zaglądać im w oczy, tu i ówdzie skakało albo poważnie i ze spuszczoneymi dziobami siadało na grudach.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 116-117)

### **[Justyna w zagrodzie Bohatyrowiczów spotyka Anzelma]**

W dużym tym ogrodzie, który był zarazem owocowy, warzywny i kwiatowy, a także łąką i pasieką, znajdowała się jedna tylko ławka, przy ścianie domu pod dwoma oknami stojąca, z wąskiej, na dwu słupkach opartej deski złożona i tak długa, że dziesięć osób rzędem na niej usiąść by mogło. Tuż przed nią wyrastał z trawy szereg sztywnych malw, a nieco na prawo pszczoły nad błękitnymi ulami i różowymi makami brzęczały. Z tej ławki podniosła się wysoka i kształtna kobieta, z głową czarnymi war-koczami owiniętą i śniadą twarzą, o rysach wydatnych, którą rzeźwiące powietrze pola oblało teraz świeżym rumieńcem. Po-między malwami, sama do pysznie rozwiniętego kwiatu podobna, stała w nieśmiałej trochę postawie, a szare jej oczy z dala już wpatrywały się w zbliżającego się ku niej człowieka. Nie był on dla niej całkiem nieznanym. Zasłyszała coś była o przeszło-ści jego, wspólnej z przeszłością Korczyńskich, z tą przeszłością, o której teraz prawie nigdy nie wspominało w Korczyniu, lecz której niestarte pamiętki tkwiły w sieroctwie Zygmunta, w wiecznej żałobie jego matki, w położeniu, sposobie życia i po-sępności oczu Benedykta. Domyślała się także czegoś, czegoś więcej nad przelotną znajomość, co niegdyś zachodzić musiało pomiędzy człowiekiem tym i Martą. Z bliska, pomimo ruchów ociężałych i przygarbionych pleców, mniej staro wyglądał on niż z daleka. Z twarzy jego o rysach ściągłych i regularnym profilu poznać można było, że nie miał więcej jak lat pięćdziesiąt, ale była to twarz cierpiąca i zamyślona, z cerą od słońca trochę zaróżowioną, z zapadłymi policzkami i spłowiałym błękitem oczu. Ze sposobu, w jaki zbliżył się do nieznannej sobie kobiety, z ukłonu, jaki jej oddał, znać było, że dworne obyczaje nie były mu całkiem obce. Uchylił nieco baraniej czapki, lecz wnet ją znowu włożył na głowę.

— Jestem Anzelm Bohatyrowicz — powolnym swym i monotonnym głosem wymówił — przepraszam, że w czapce ostanę, ale taką mam głowę, która lęka się przeziębienia...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 129-130)

### **[Gniazdowość Bohatyrowiczów]**

Szerokim gestem zatoczył dokoła:

— Wszystko to jest robota własnych rąk naszych: i ten płot z desek, i ten ganeczek, i ule. W potrzebie najemników do pomocy bierzem, ale sami my rolniki i sadowniki, i pasieczniki, i stolarze... W biednym stanie inaczej nie może być, kiedy człowiek żąda nie tylko nasycenia ciała, ale i tych różnych elegancji i przykrasek, co i niekoniecznie potrzebne, ale dla oczów miłe...

Śmiał się teraz cichym, piersiowym śmiechem, przygarbione plecy prostował; nikłe iskry zlały się mu w źrenicach w spokojny i ciepły promień. Jednak w głębi tego człowieka było coś, co falą smutku czy zniechęcenia rychło gasiło jego wesołość. Po-chylił znowu głowę, przygarbił się i powoli dodał:

— Wszystko to jest doczesność i znikomość. Nie na takie roboty człowiek patrzył, a wniwecz poszły; nie takimi nadziejami karmił się, a najadł się trucizny... Każda rzecz na świecie jak woda przepływa, jak liść na drzewie żółknie i gnije...

Patrzył w ziemię, mówił to monotennie i coraz ciszej; można byłoby myśleć, że słowa te były pacierzem, który odmawiał od lat wielu, po wiele razy co dzień i może co nocy. Powoli jednak podniósł twarz i daleko patrząc zaczął.

— Ale nie każdy ma jednostajną łaskę u Boga i jeden więcej, drugi mniej szczęśliwości na tym świecie użyje. Może z tego wszystkiego Janek, dzieci jego i wnuki słodko i miłe korzystać będą... Do tego — dodał — każdemu gniazdo swoje miłe, a osobliwie nam...

Tu wzrok jego przesunął się po twarzy Justyny.

— Panowie to co inszego — dokończył — do wielkich miast jeżdżą, za granicami przemieszkują, różne zabawy i rozkosze mają... A dla nas co? Dla nas ani Paryżów, ani honorów, ani pięknych muzyczek, ani wesołych asambłów nie ma. Gniazdo na-sze — wszystko nasze... i dla tej przyczyny trzymamy się jego zębami i pazurami.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. IV, s. 134-135)

### **[Lud okolicy Bohatyrowiczów]**

Lecz w ogólności był to rój ludzki do roju pszczoł podobny, ciężki i własnoręcznie pracujący, w grubej odzieży, z grubymi rękami, z ciemną ogorzalnością na twarzach i z potem na czołach — nie ponury jednak, owszem, tu i ówdzie rzucający w powietrze wybuchy śmiechów kobiecych, młodzieńczych, dziecinnych. Pieśni zaczynane i przerywane pracą wzbijały się jedną lub kilku nutami i milknąc tu, odzywały się ówdzie, to bliżej, to dalej, to skoczne, to tęskne, aż pojedynczy męski głos jakiś prze-trwał wszystkie inne i rozgłosił na dziedzińce, ogrody i aż na pola rzucił strofę tej samej pieśni, którą niedawno wygwizdy-wał idący za pługiem Jan...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. V, s. 148-149)

### **[Grobowiec Jana i Cecylii]**

Na szerokiej podstawie krzyża białął wyraźny jeszcze, choć miejscami zacierający się już napis:

JAN I CECYLIA, ROK 1549

*memento mori*

Tylko nazwiska nie było tam żadnego. Z bezimiennego tego grobowca, osłoniętego przed światem ścianą nadniemeńskiego parowu, przeszło trzy wieki patrzyły na przepaść zieloną z warczącą w głębi krynicą, na olbrzymi i cały w mchach swych i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłonięty tu przez wyginające się w tył ściany przepaści i stojący w tej cichej pogodzie szybą błękitu i srebra. [...]

Teraz jemu [Anzelmowi] przypadło w udziale stróżować nad tą pamiątką, drogą zapewne licznym pokoleniom, skoro z nich każde znalazło wśród siebie kogoś, kto jej z powierzchni ziemi zniknąć nie pozwolił. Nowy krzyż okryją stare godła, krótki napis wyraźniej zabieleje na czerwonej podstawie grobowca i wszystko tu znowu będzie tak samo, jak było przed trzema przeszło wiekami, jak było w tej porze dalekiej, gdy dwoje jakichś ludzi o nieznanym nazwiskach i dziejach złożono w jednej mogile.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. V, s. 158, 159)

### **[Opowieść o Janie i Cecylii]**

— Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji i to tylko można było poznać i z mówienia ich, i z ubioru, że przyszli z Polski. (...) chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospólstwie bywa, a ona, czy to szła, czy to stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. (...) Jan i Cecylia wzdłuż puszczy przeszedłszy poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów, zachodzili także do świniarów i do bawolników, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna, i na tym właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi... Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym boskim okiem pozostawać. Może już tak im było przeznaczone, ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować. [...]

— Podtenczas — zaczął znowu — nie było na tym miejscu żadnego kawałka zoranej ziemi ani żadnego ludzkiego plemienia. Z tej strony rzeki i z tamtej strony rzeki, na prawo i na lewo, naprzód i w tył, rosła jedna tylko puszcza. (...) pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli takąż numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Od razu inszej zbudować nie mogli. (...) Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała, i ręce z początku miała takie białe, by lilie. Ale krótko tego było, bo pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach, wyrosła, zmęźniała w sobie, że podobną stała się do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmilsze. Jak pierwsza matka ludzkiego rodu, miała ona podobno włosy złociste i takie długie, że pokryć nimi mogła siebie i swoją harfę: gdy też późnym wieczorem nad senliwym mężem śpiewała, on, choć senliwy, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słońka zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią. Jednakowoż pomimo kochania i wszelkich jego rozkoszy nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że inszym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. (...) Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo, dość że znieśli i przemogli. Już to jest pewne, że żaden człowiek siły swojej nie zna, nim jej w potrzebie z siebie nie dobędzie. Prawda i to, że wiele rzeczy i stworzeń podtenczas człowiekowi do pomocy stało. Narzędzia do wszelakich robót i myślistw przynieśli z sobą albo różnym sposobem zrobili sobie, dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniela i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek, a u dołu w gęstwinach skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun; w wodach mieszkaly wydry i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale ona nie ma. Do tego i lubości bywało tu nadmiar. Słowicze śpiewy umilały noce, a jaskółcze i gołębie gminy same przez się szukały przytułku pod dachem numy. (...) Może dwadzieścia років minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemysłnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli i inszych różnych roślin nasadzili; że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, których na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. (...) Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wyhodowało nad brzegiem tej wody, w cieniistościach tej puszczy, pod okiem jednego Boga. [...]

— Osiemdziesiąt lat albo może i więcej przeminęło od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili. Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwy dzieją się gdzieś, w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy nad samym brzegiem Niemna. Panował podtenczas ostatni Jagiellon, dwoma imionami: Zygmunt i August nazywany. (...) Jechał i jechał, jechał i jechał, a panowie za największym z panów jechali, aż raptem zobaczyli jakoby koniec puszczy. [...]

Aż tu wszyscy wyjechawszy z lasu stanęli, oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętym zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy lub też by słupy z pozwęznanymi wierzchołkami, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pole pod przyszły zasiewek, a wśród pola na gładkich łąkach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów rzyżych i białych owiec. [...]

Wedle królewskiego żądania wnet stać się musiało. Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuczki wyprowadzili parę rodziców. Więcej niżli stuletnie te starce szli same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych płótnianych sukniach, by dwa białe gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze w długim kiju oprawionym; ona zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy, głaskała biegnącą przy niej sarenkę. Kiedy już wobec króla stanęli, wszyscy zdumieni się, bo król kółpak swój zdjąwszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

„Kto ty, starcze? — zapytał Jana — odkąd przyszedłeś? Jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?”

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, śmieje odpowiedział:

„Przyszedłem tu od stron onych, którymi przepływa Wisła; nazwisko swoje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niską była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem: ale oto ta pani i małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać”. [...]

Wtedy król odwrócił się do Jana:

Ty starcze, wedle własnego żądania bezimiennym ostaniesz i jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzom odebrał, a zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, a przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając, przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego, nadaję nazwisko od bohaterstwa twego wywiedzione”.

Tu z prawicą wyciągniętą nad zdumiałym ludem król donośnym głosem wypowiedział:

„Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw stanowi rycerskiemu odpowiednich odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest zubrzą głową na złotym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał zebra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole...”

W tym miejscu umilkł opowiadający; wyprostowana teraz postać jego z wielką czapką na tył głowy nieco zsuniętą wypukle odrzynała się od wysokiego złomu kamienia. Rękę w górę podnosił i słychać było, jak szeroko i głośno oddychał. Po chwili wymówił jeszcze:

— Działo się to w roku, na tym pomniku wypisanym, tysięcznym pięćsetnym czterdziestym dziewiątym...

(...) W zmroku naprzeciw umilkłego Anzelmą widać było dwoje ludzi siedzących blisko siebie, pomiędzy cienkimi sosnami, na pniu obalonego drzewa. Kobieta opuściła ręce na kolana, mężczyzna twarz oparł na dłoni. Słuchali jeszcze, czekali. Po chwili też człowiek na kamieniu siedzący ozwał się znowu:

— Taka jest historia fundatorów naszych, taki nasz tutaj zaczątek i oto dla jakiej przyczyny my na tej ziemi siedzimy.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. I, r. V, s. 160, 169)

### **[Kiryłowa o swoich dzieciach – mowa pozornie zależna]**

Jak tam przecież było, to było z córkami, ale co robią chłopcy, mianowicie młodszy Bolesław, którego w bawialnym pokoju co dzień na parę godzin na klucz zamykała, aby już od książki odejść nie mógł. Starszy, Staś, pewno tam z chłopskimi dziećmi po łące czy drodze hasa i powróci z czołem pełnym guzów. Ale jemu więcej wolno, bo z promocją do czwartej klasy na wakacje przyjechał. Bolesław zaś dwa lata już w drugiej klasie przesiedział i jeszcze promocji nie dostał. Złękła się była tego ogromnie. Na rok trzeci w tej samej klasie pozostać nie wolno. Pójdzie precz ze szkoły i co ona z nim potem zrobi? Pojechała do miasta i wyprosiła, wychodziła, wyjęczała dla niego pozwolenie zdania powtórnych egzaminów po wakacjach. Powinien się więc do nich przygotowywać, a nie chce. Swawolny i leniwy. W ojca się wrodził. Cóż robić jednak? Napędzać dziecko trzeba, bo bez szkół — zginie. Ile ją już ten chłopiec bezsensnych nocy kosztował! Ciekawość, czy teraz zamknięty w pokoju na klucz czy się albo pustuje?

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. I, s. 9)

### **[Witold szczerze o Darzeckim i o ojcu]**

— Dlaczego obchodzisz się z wujem tak, jak gdyby to był twój koleżka, z którym wolno ci rozmawiać lub nie rozmawiać, grzecznym być albo niegrzecznym? [...]

— Dlatego, mój ojczu, że dla pana Darzeckiego nie mam szacunku, a nigdy nie niżę się do nadskakiwania człowiekowi, którego nie szanuję.

Zdumienie Benedykta granic nie miało; wpatrzył się w syna osłupiałymi oczami i po chwili dopiero zdolnym był wymówić:

— A toż co? Skąd? Dlaczego? [...]

— Dlatego — z kolei wybuchnął Witold — że jest to pyszałek, sybaryta, egoista, nie dbający o nic oprócz własnej pychy i wygody, nie widzący dalej niż do końca swego nosa, który zadziera pod obłoki dlatego, że ma większy od innych majątek, ciotkę hrabinę i stryjecznego brata wzbogaconego nie wiedzieć w jaki sposób, zapewne potem i krzywdą swych bliźnich. Nie tylko ludziom tego rodzaju sam nadskakiwać nie myślę, ale bolało mnie, o! jak mnie bolało, że ty, mój ojczu, nadskakiwałeś jemu i robiłeś się przed nim taki mały, pokorny...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. I, s. 55-56)

### **[Przywiązanie do ziemi, żniwa Bohatyrowiczów i zaścianka]**

W porze żniwa na tej rozległej równinie ziemia wydawała się złotym fundamentem dźwigającym błękitną kopułę i okrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i ówdzie na drogach porośniętych rzadką trawą i na wczesnie zaoranych małych szmatach pola. Zresztą, wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadnie-meńskiej, dojrzałe zboża płynęły gorącą żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco żółtym ściemniskiem. W tych to zagłębieniach, rozszerzając je coraz i okrywając wypukłościami zżętych snopów, mrowiły się drobne, ku ziemi schylone istoty. Na linii poziomej spostrzegane, wydawały się one drobnymi, bo rozsypane wśród wielkiej przestrzeni pelzały przy samej ziemi. Ale widziane z góry, spod obłoków, wydawać by się musiały niezawodnie tłumem rzeźbiarzy urabia-

jącym w przeróżne wzory złoty fundament świata. One też to były, które go uczyniły złotym; ich to ręce w mgliste dnie jesieni i wiosny miesiły ten wosk cudowny, aż przy letnich skwarach spotniał on tą złotą lawą, która sokiem życia przeleje się w żyły ludzkości. Ulewą żaru błękitna kopuła oblewała ich zgięte plecy, a gorący ten oddech nieba, skraplając się na ich twarzach, spadał na ziemię deszczem potu. Z poziomu spostrzegane, były to malutkie, przyziemne robaki. Z góry widziane — jubilerowie obracający w swym ręku najdroższy metal ludzkości, artyści urabiający postać świata, pośrednicy otwierający łono ziemi dla zapładniających uścisków słońca.

Na rozległej przestrzeni pola, którą wąska droga z bohatyrowicką okolicą rozdziela, żniwiarze wydawali się rojem istot nie tylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś gorąco żółte tło bez ład i symetrii osypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiet. Białość pierwszych była śnieżna, różowość drugich - gorąca. Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw w Bohatyrowiczach panował wielki ruch prania i szycia. Do kilkunastu najmoźolniejszych dni w roku przygotowywano się tam jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy jednocześnie wylec miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność, a nawet i niejaką wykwinność niezmiernie dbano. Kobiety dłużej niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzeki, stukami pralników napelniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały w domu dopóty, dopóki koszulom mężów i braci nie nadały prawie olśniewającej białości. Otwierały one skrzynie i wydobywały z nich najnowsze i z najlepszym smakiem, na domowych krosnach z lnu i wełny wytkane spódnice. Szyły też nowe kaftany i bardzo biedna była już ta, która, jak żona Ładysia z chatki pod dębem stojącej, nie miała wtedy na palcu mosiężnego naparstka, a w ręku kilku łokci liliowego, błękitnego lub różowego perkalu. Bardzo też biedny był ten, który, jak ów Ładyś z chłopska mówiący a bujną, złocistą czuprynę w górę zaczesujący nad szerokim czołem, nie mógł na tę porę przywdziać nowego obuwia, cholewami kolan sięgającego, i czarnych spodni, których szelki ciemnymi liniami przerzynały na krzyż olśniewającą białość koszuli. Ale młody Michał, pierwszy elegant okolicy, który nosił spiczasto przystrzyżoną brodę i w górę zakręcone wasy, od stóp do głowy ubrał się w dymkę koloru kanarkowego i w zgrabnej czapce, w nowych butach, z fantazją stał na pustym wozie, galopem prawie przez parę koni ciągniętym od jednego z domostw ku polu. Zwolnił nieco bieg koni krzyżując się z innym wozem spiętrzoną górą snopów, na szczycie której siedział Jan Bohatyrowicz, w podobnie nowej czapce, z szelkami skrzyżowanymi na śnieżnej koszuli, z lejcami w rękach.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. III, s. 75-76)

### **[Witold w rozmowie z Anzelmem]**

— Ale jaki pan jest podobny do stryja swego, pana Andrzeja! Chryste, jakież podobny! I czoło, i oczy, i głos, i mówienie, wszystko takie... jakby pan Andrzej z mogiły powstał...

Błade źrenice jego wejrzeniem pobiegły daleko, ku zaniemeńskiemu borowi, a potem znowu w twarzy Witolda utkwily.

— Tylko — zaczął jeszcze — nie daj Boże panu takiego... lo... lo... losu!

Zająknął się dlatego może, że we wnętrzu swym zaraz słowom swym zaprzeczył. Podniósł pochyloną dotąd głowę, czapkę na niej poprawił, powoli wyprostował przygarbione plecy.

— Albo i nie — ze srebrnym błyskiem oczu poprawił się — albo i nie! Daj Boże każdemu dobremu tak żyć i tak umrzeć, choćby i przedwcześnie!

Serdecznym i zarazem ostrożnym jakby ruchem Witold w obie swe dłonie wziął jego rękę.

— Za drugie życzenie dziękuję! — wzruszonym głosem wymówił. — Życia bez wyższych uczuć i myśli nie chcę i wolałbym umrzeć z wielkim ogniem w piersi niżli z kamieniem lub mętną wodą żyć wieki!

Zrazu przy dotknięciu młodego człowieka Anzelm uchylił się nieco i zwykłym sobie trwożnym ruchem otulił się kapotą. Nie uściskał też ręki Witolda, ale w słowa jego cały wsłuchany, usta w zdziwieniu otworzył i z cicha wymówił:

— Nie spodziewałem się... nie spodziewałem się już w swoim życiu mowy takiej słyszeć... Chryste! Czy ubici mogą drugi raz ożyć?

— Nie — zawołał Witold — oni sami śpią na wieki, ale uczucia ich i myśli krążyć nie przestają w przestrzeni i płonąć w powietrzu, aż wejdą znowu w żywych, młodych, silnych, kochających ziemię i ludzi!

— Amen! — dokończył Anzelm, po czym oba stali przez chwilę wzruszeni, milczący i wzajemnie w siebie wpatrzeni.

— Może być — zaczął Witold — że kiedykolwiek, gdy po skończeniu nauk do Korczyna wrócę, w wielu względach o pomoc pana prosić będę.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. III, s. 106-107)

### **[Witold z Anzelmem w zagrodzie Bohatyrowiczów]**

W tej chwili Anzelm, niezwykle spiesznym krokiem Witolda wyprzedzając, zbliżył się do jednego z otwartych okien domu.

— Ja panu zaraz te książki pokażę — mówił — zaraz po... po... po...każę! [...]

— Psalm Kochanowskiego... Niech pan spojrzy na te dwa wyrazy, co na boku wypisane.

— Andrzej Korczyński — głośno przeczytał Witold.

— Pan Tadeusz... Niech pan spojrzy na te dwa wypisane wyrazy...

— Andrzej Korczyński...

— Ogrody północne... Niech pan spojrzy...

W ten sposób kilka tytułów przeczytał, bladym swym palcem wskazując napisy im towarzyszące, z jednostajnym zawsze brzmieniem. Jeden tylko był nieco dłuższy. Zawierał się w czterech wyrazach: „Andrzej Korczyński — Jerzemu Bohatyrowiczowi”.

— Ojcu Janka, jego ojcu — ze szczególnym ku Witoldowi mrugnięciem szepnął Anzelm, a potem książki znowu na stole zło-



żył.

— Wszystko to od niego, i tyle tylko u nas światłości jest, ile jej on zostawił. Gdzie tam! I tyle już nie ma, bo jedni pomarli, drudzy zgłupieli i zapomnieli, a są i tacy nawet, co bez uszanowania i wdzięczności, owszem, z pośmiewiskiem, go wspominają. Z mułu ziemskiego zlepieni jesteśmy i o to tylko dbamy, co tyczy się mułu tego, czyli naszego ciała. Ale kto raz, choć troszkę, duszne radości i żałości poznał i dusznego światła zapragnął, ten dla niego ma wieczną wdzięczność i czuje za nim wieczną tęsknotę. On tu siał, on oświecał, on ten ogień, o którym pan tylko co mówił, w sercach ludzkich podtrzymywał, on za niego i młodą głowę swoją oddał... Niechże mu światłość Twoja niebieska, o Boże sprawiedliwy! świeci na wieki wiekuiste, amen!  
(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. III, s. 112-113)

### **[Mogiła]**

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną czy łąką leśną, objętą regularnym i ściśle zamkniętym kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i płaczące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplatanie, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności tak ciemnej, że prawie czarnej. Gdzie indziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się znad kobierca w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych wyhaftowanego. Te paprociowe liście, strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkimi odcieniami zieloności umalowane, i te wyglądające spod nich lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w miriady drobniuchnych gałązek wyrzeźbione, stały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzonym morzem wypływającym znowu na przezroczyste przestrzenie boru. Na przezroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasných i mrocznych geniuszów lasu. [...]

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową; wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — z cicha zapytała.

— Czterdziestu — odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyśpieszył. [...]

Kwadrans upływał, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły utopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Dziecko czasu ciągnącego się pasmem ciężkim i szarym, najdalszym wspomnieniem nie sięgała ona żadnej z tych ognistych i strzelistych chwil, które serca, nawet maluczkie, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolebka jej stała już w katakumbie napełnionej zmrokiem i milczeniem, pośród których szemrały tylko nisko, nisko przy ziemi krzątające się interesy powszednie i jednostkowe lub rozlegały się wzdychania i jęki podobne tym, które wydają wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk, domowymi ścianami ogrodzonych, dojrzewała w kole rozkoszy i strapiień we własnym jej sercu tylko źródło mających. Wszystko, co otaczało ją, pogrążone było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze i tylko osobistych, ciasnych i powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połączanymi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakreślając nieustannie te same małe kółka; uczucia ludzkie, jak motyle, po świetnym momencie miłości i wzlotów, skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swym życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi; ani razu przed jej oczami nie wypadł z ziemi — nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Nie widziała nigdy bohaterstwa, poświęcenia, dobrowolnie podejmowanych śmierci, walk, których by pole nie mierzyło rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe grot, staczały się owe walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którym urodziła się, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w której od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec, ani lekcje udzielane jej przez nauczycielki, ani tyczące się obejścia i układu wskazówki i przestrogi, których często udzielała jej pani Emilia, ani czytane wspólnie z kochanym człowiekiem poezje Musseta i Feuilletowskie powieści — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy wielkie, ważne i wysokie. Nieszczęście rzadko bywa mistrzem dobrym, a pogębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet kruszy i włacza w padoły. W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcej zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna i dlatego z tej mogiły uderzyły w nią strumienie uczuć i myśli, jeżeli niezupełnie dla niej nowych, to nigdy dotąd silnie nie zaznanych i wyraźnie nie określonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Pierwszy może raz w życiu, zupełnie, absolutnie o sobie zapomniała, i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jej stawało się większe, jakby nabrzmiewało jakąś z tonów bez słów uplecioną pieśnią, i gorętsze, jakby spod tej trawy, do której piersią lgnęła, wydobywał się i w nią wnikał niewidzialny płomień. Byłoby zaraźliwym żarem spoczywające w samotnych mogiłach prochy zapomnianych? Albo w zamian nie otrzymanych wawrzynów otrzymywałyby ich kości dar wiecznego pod ziemią gorzenia i wyrzucania na świat niewidzialnych iskier?

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. IV, s. 127-130)

### **[Jan Bohatyrowicz i Justyna Orzelska]**

— Wszystko to prawda. Smętnie to i wstydno bogactwa używać, a nie swego; wysoko stać, a nie na swoich nogach; młodym i silnym być, a jak w zgrzybiałej starości, żyć w wiecznym odpoczywaniu...

Innym razem jakby do siebie samego przemówił:

— Ani ptak, ani mysz... jak nietoperz!

W sposób ten uplastycznił przed sobą to zmieszanie bogactwa i ubóstwa, oświaty i nieuctwa, dość wysokiego stanowiska społecznego i zupełnej życiowej nicości, które ona sobą przedstawiała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zupełnie, tak nawet subtelnie zrozumiana, jak przez tego człowieka, który do jej życia i położenia przykładał miarę pracowitości i niezależności własnej. Powiedział nawet, że nie pojmuje, jak ona taką mękę wytrzymać może, bo gdyby jemu kazano po dniach całych z założonymi rękami siedzieć i kawałka chleba, dachu, surduta z cudzych rąk wyglądać, utopiłby się niezawodnie albo na pierwszej gałęzi powiesił.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. IV, s. 136)

### **[Lampa Justyny]**

Marzyła czy śniła? Wydało się jej znowu, że zmrok panował na świecie, przezroczysty, ale bez dnia i słońca, a ona górą płynęła i szeroki widnokrąg obejmowała wzrokiem, tak szeroki, że widziała wyraźnie dwór korczyński i okolicę, i w gęstej zieleni ukryty grobowiec legendowej pary, i u drugiego końca widnokregu smutną pustynię piasków, a za nią w zamkniętym kole wzgórzystości leśnych samotną, wielką mogiłę. Wszystko to pogrążone było w przezroczystym zmroku; a ona płynąc górą trzymała w ręku lampę... lampę tę samą, która wczorajszego wieczora na olchowej komodzie Anzelma płonęła. Widać stamtąd ją wzięła i teraz podnosiła wysoko, a promienie jej, skąpe wprawdzie, wąskie, padały jednak na dachy domostw, złote nici rzuciły na spajającą zagrody sieć płotów i ścieżek, dostawały się z jednej strony aż na prastary grobowiec, z drugiej na opuszczoną mogiłę, oświetlając je i niby je wiążąc, łącząc jak ogniwa jednego łańcucha.

Marzyła czy śniła? Na włosach swych, na twarzy, na ustach czuła ciepłe, długie pocałunki. Były to promienie słońca, które wytryskując zza różowego pasa jutrenki rozdarły białą krepę obłoków i końce strzał swoich spuściły na drzewa, na trawę, na wodę, na rozszczebiotane nagle ptaki i — na nią. Lecz sen czy marzenie niosły jej te pocałunki nie od gwiazdy dnia może, ale od kogoś innego, innego... bo twarz jej spłonęła rumieńcem i upojony uśmiech roztworzył pąsowe usta.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. II, r. V, s. 187)

### **[Wychowanie Zygmunta Korczyńskiego]**

Pełne delikatnego wdzięku i wybujałych wymagań dziecko, w cieplarnianej atmosferze osowieckiego domu czy pałacu wrażliwe i tak od otaczającego je świata oddalone, jakby mieszkańcem jego nigdy być nie miało, rwało się istotnie do ołówka, potem do pędzla, z niecierpliwością przypisywaną ognistemu temperamentowi, z fantastycznością za nieomylną oznakę geniuszu poczytywaną. Biegli i coraz kosztowniejsi nauczyciele wróżyli mu przyszłość wielkiego artysty, o której on słuchał z rozkoszą, każdy szczegół własnej osoby i codziennego życia tak wyjątkowy uczynić usiłując, jak wyjątkową być miała przypadająca mu w świecie rola wybrańca. Jak promienie słońca skupiają się w soczewce, tak wszystko, co go najbliższej otaczało, starania swe i uwielbienia skupiało na nim, i tak z kolei on własne swoje myśli i rojenia na samym sobie skupiał. Wszystko, co istniało poniżej tej wysokości, na której niedorostkiem jeszcze będąc w mniemaniu swoim stanął, wydawało mu się brzydkie, niegodne uwagi, nawet brudne i wstrętne. Nad sobą widział tylko przyszłego siebie.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. I, s. 22)

### **[Ideały Witolda i zwątpienie Benedykta]**

— No, widzisz — prostując się kończył student — nic tu takiego mądrego nie ma i tylko w obchodzeniu się z tą maszyną trochę trzeba ostrożności i uwagi. Jutro obydwaj wstaniemy o świcie, maszynę do kowala zawieziemy, a w jaką godzinę po wschodzie słońca będziesz już mógł w pole z nią wyjechać. Straty nie będzie żadnej ani nam, ani tobie...

Ostatnie słowa widocznym zadowoleniem okryły ciemną, gęsto obrosłą twarz chłopca. Schylił się i z głośnym cmoknięciem całując rękaw surduta Witolda, z uśmiechem i głośno przemówił:

— Dziękuję, paniczku! Daj Boże zdrowie!

Po czym leżąc z ziemi podniósł i cmoknął na konie, które zniwiarę ku stajni pociągnęły.

Benedykt od chwili wmieszania się syna w scenę pomiędzy nim a parobkiem zachodzącą stał nachmurzony i silniej węża w dół pociągał. Po oddaleniu się chłopca wzrok podniósł na syna.

— Dałeś mi lekcję obchodzenia się z ludźmi. Teraz widać takie czasy przyszły, że jaja kury uczą. Dziwię się tylko, że od tylu lat nad książką ślęcząc umiesz tak biegle i w sposób odpowiedni z chłopami rozmawiać...

— Jeżeli ci się to nie podoba, mój ojczu — żywo odrzucił Witold — samemu sobie chciej winę przypisać. Kiedy dzieckiem pod twoim okiem rosłem i kiedy następnie ze szkół do domu przyjeżdżałem, nie wzbraniałeś mi przedstawiania z większą ludnością...

Zwracając się ku domowi Benedykt sarknął:

— Na siebie samego bicz kręciłem. Według idylli, która w twojej dziecinnej głowie powstała, sądzisz teraz ojca...

— Idylla! — popędliwie zawołał Witold. — Upewniam cię, mój ojczu, że patrzę na rzeczy bardzo trzeźwo i że... na razie... szczytem moich marzeń jest to, aby ludzie nie obchodzili się z ludźmi jak z bezmyślnymi bydłami... gorzej, jak z kamieniami chyba, bo przecież są na świecie takie dziwaczne usposobienia, które i dla bydła wyrozumiałość i litość mają...

Benedykt zaśmiał się z lekceważeniem.

— Kiedy już sam poturbujesz się dobrze nad gospodarstwem i interesami, będziesz wiedział, jakie różnice zachodzą pomiędzy teorią a praktyką, rzeczywistością a sielanką.

Witold wpał mu w mowę:

— Jeżeli kiedy, mój ojczu, przekonany zostanę, że teorie moje z praktyką w żaden sposób pogodzone być nie mogą, w łeb so-

bie strzelę, ale od teorii nie odstąpię za nic...  
(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. II, s. 50-51)

### [Benedykt o darmożjadach (Różycu)]

— Wszystko to bardzo piękne i ja panu Różycowi ubliżać nie chcę. Młody jest i poprawić się może, bo jak słyszałem i sam spostrzegłem, rozsądek i dobre serce ma... Ale abym przeszłość jego pochwalał, to nie. Taką fortunę stracić na karty i metresy rzecz niegodna. Tak tylko łajdaki robią...

— Benedyckie! — z cicha jęknęła pani Emilia.

— A tak — nie zwracając oczu na żonę energicznie potwierdził. — Przy tym tak już nic a nic nie robić, jak ci panowie, to także, powiem prawdę, świństwo. Człowiek, który na świecie jedząc chleb nie pracuje, czy tam w nim błękitna krew płynie, czy popielata, czy czerwona, jest darmożjadem i niczym więcej... Jeżeli zaś jeszcze i na marcypanach pasie się, a nawzajem dla świata, który mu marcypany daje, palcem nawet pokiwać nie chce, no, to już go mam za...

Wtem przypomniał coś sobie, pomiarkował się i trochę miększym głosem dokończył:

— Ale ja tego nie mówię do pana Różyca... nikomu ubliżać nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem... tylko... te wielkie bogactwa, które takie frukta rodzą, te... te... to... tamto...

Chciał widocznie połknąć wyrazy, które wydierały mu się z gardła, ale nie dokonał tego. Ręką machnął i dokończył:

— Te wielkie fortuny niechby wszyscy diabli wzięli!...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. II, s. 59)

### [Zygmunt Korczyński i Justyna Orzelska]

— Myślałem, że miłość wszystko obmywa i uświęca... — zaczął.

Ale ona mu przerwała:

— Zmień nazwę, kuzynie, proszę cię, zmień nazwę... to nie jest miłość, ale...

Zawahała się chwilę, zawstydzienie czoło jej rumieńcem oblało, prędko jednak dalej mówić zaczęła:

— To jest romans... pełno go we francuskich książkach... pełno go i w życiu... O, znam go, znam go od dawna. Był on przekleństwem mego dzieciństwa, kiedy zabijał mi matkę, a dla ojca szacunek odbierał... Spostrzegalam go i potem między ludźmi, a wszędzie, zawsze zaczynał się od... od gwiazd, a kończył się w błocie. O, muzy, siostrzane dusze, czyste uczucia, krainy ideałów... Boże! ile słów! ile pięknych, poetycznych słów! czy wy używając ich kłamiacie, czy nimi oszukujecie samych siebie? Może i tak bywa. Ale ta poezja jest tylko wstępem do wielkiej, wielkiej prozy... Powiedziałeś, że miłość uniewinnia i uświęca wszystko. Być może, ale nie taka, co kryje się pod ziemią i wstydzi się samej siebie. Powiedziałeś, że prawa miłości są najświętszymi ze wszystkich praw świata. O, tak! Ale o jakiej miłości, ty, wykształcony mężczyzna i artysta, mówiąc to myślałeś? Nie o tej, nie, najpewniej nie o tej, której świtanie od niedawna ja uczułam w sobie... Idź na mogiłę ojca, kuzynie, idź na mogiłę ojca... Kochaj to, co kochał twój ojciec...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. II, s. 92)

### [Matka (Andrzejowa) i syn (Zygmunt Korczyński)]

— Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

— Wątpię — odpowiedział — jestem nawet pewny, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczej o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiechnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem i, schyliwszy się znowu, piękną białą rękę na czarnej sukni spoczywającą pocałował.

— *Parions*<sup>4</sup> — zażartował — że propozycją moją mama będzie zdumioną... nawet oburzoną... *oh, comme je te connais, ma petite, chère maman!*<sup>5</sup>... ale po namyśle i spokojnej rozwadze, może...

— Słucham cię — powtórzyła, a piękne jej oczy, których blask łyzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłowionym wyrazem powściąganego czułości spoczywały na tej pochylonej ku jej kolanom głowie, na którą, Boże! Ileż nadziei, ileż jej cudownych marzeń i namiętnych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w poufnej i razem coś pieszczotliwego mającej w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając mówić zaczął:

— Nieprawdaż, najlepsza mammo, że u stóp twoich i u twojego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała *la belle au bois dormant*<sup>6</sup>, słodko drzemiąca w swym kryształowym pałacu, wśród zakłętego lasu, którego nigdy nie dotykała jej stopa i z którego przychodziły do niej tylko wonie kwiatów i śpiewy słowików? Nieprawdaż, *chère maman*, że usuwałaś mię starannie od wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nieprawdaż?

— Prawda — odpowiedziała.

— I to także jest prawdą, moja mammo, że przeznaczałaś mię do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich... a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mammo?

— Tak — odszepnęła.[...] — Nieprawdaż, *mon adorée maman*<sup>7</sup>, że potem sama wysłałaś mię w świat szeroki, gdzie wiele lat spęd-

4 *Parions* (franc.) — załóżmy się.

5 *oh, comme je te connais...* (franc.) — o, jakże cię znam, moja miła, kochana, mammo.

6 *la belle au bois dormant* (franc.) — śpiąca królewna.

7 *mon adorée maman* (franc.) — uwielbiana mammo.

dziłem wśród najwyższych wykwintów miast, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki... że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszej szarości i pospolitości, do których zresztą i nigdy przyzwyczajony nie byłem żyjąc w twoim idealnym świecie, tak jak zakłeta księżniczka żyła w swym kryształowym pałacu? Nieprawdaż, moja najlepsza, najrozumniejsza mamó?

– Prawda. Ale do czego zmierzasz?

– Zmierzam naprzód do tego, aby ci, *ma chère maman*, powiedzieć, że za wszystko, co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięcznym...

Tu pochylony znowu ustami dotknął jej kolan.

– Następnie do tego, że przecież rzeczą jest niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiej, jak moja, przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodół, obór... *que sais-je*<sup>8</sup>? do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klektać nad głową o gospodarstwie... do tych... tych... *que sais-je*? zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów... Czyż to podobna? Moja droga mamó, czyż ktokolwiek, po takiej, jak moja, przeszłości, wobec takich, jak moja, ambicji i potrzeb może wymagać tego ode mnie?[...]– Ciernie twojego położenia rozumiem dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie trudniejszym, niż bywa ono dla innych. Jednak, moje dziecko, niczyje życie na tej ziemi nie może być wolnym od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych...

Pędkiem z krzesła wstając mowę jej przeciął:

– Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. *J'en ai assez!*

– Gdybyś był wyjątkiem... Ale... wszyscy jesteście nieszczęśliwi...

Stając przed matką zapytał:

– Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jej czuło było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

– Nie ma na świecie matki, która by dziecko swoje nieszczęśliwym widzieć chciała, ale ja dla ciebie pomiędzy niskim szczęściem a nieszczęściem wzniosłym wybrałabym drugie.

– Któż tu mówi o szczęściu niskim? – zarzucił – czyż przyjemności wyborowych towarzystw, piękności wspaniałej natury, rozkosze sztuki stanowią niskie szczęście?

– Najpewniej nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz...

– Dlaczego muszę? – przerwał – dlaczego muszę?

Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszej, droga mamó, do punktu, na którym umieszczę moją propozycję... non! moją najgorętszą prośbę...Zawahał się przez chwilę, potem znowu przed matką siadając znowu pochylał się ku jej kolanom i rękę jej wziął w swoje dłonie. Znowu też pieszczotliwie, z wdziękiem, z odcieniem rzewności i poetyczności, mówić zaczął. Mówił o tym, aby sprzedała Osowce, które były dziedziczną jej własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencji albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. (...)– Nieprawdaż, moja złota mamó, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś albo po czymś płaczą, zbiedzeni, skłopotani, przelęknięci... Stąd płynie melancholia, *qui me monte á la gorge* i dławi mię jak globus histericus tę biedną panią Benedyktową...[...]– Nie uczynię tego nigdy.

Porwał się z krzesła.

– Dlaczego? dlaczego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy odpowiedziała:

– Dlatego właśnie, co powiedziałeś... Dla tej właśnie melancholii...

– Ależ to jest wściek... pardon! krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamó! Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można, przyrastać do zapadłego miejsca na kształt grzyba, dlatego tylko że inne grzyby siedzieć w nim muszą – to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

Patrząc mu prosto w oczy zapytała:

– A ty, Zygmunco, czy nie jesteś idealistą?[...]Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach: naprzód o tym, że przez Justynę odtrąconym został, następnie, że żadnej z tych dwóch kobiet prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać?[...]– Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny... o, mimowolny! bo myślałam, że czynię jak najlepiej... Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojej miałeś być gwiazdą pierwszej wielkości, nie zaś pospolitą świecą, wozem, nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historią swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać siłę, męstwo, moralną wielkość? Twój ojciec, Zygmunco, oprócz wielu innych rzeczy wielkich kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświecania...

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój ten napępiać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wy-mówił wyraz:

– Bydło! [...]

– Idź na mogiłę ojca, Zygmunco, idź na mogiłę ojca! Może z niej... może tam...

– Mogiła! – sarknął – znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję... przede mną życie, sława...

– Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec... tam...

– Mój ojciec – wybuchnął Zygmunco – niech mi mama przebaczy... ale mój ojciec był szaleńcem...

8 *que sais-je* (franc.) – czy ja wiem.

– Zygmuncie! – zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie. Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.  
 – Szaleńcem! – powtórzył – bardzo szanownym zresztą... ale do najwyższego stopnia szkodliwym...  
 – Boże! Boże! Boże!  
 (E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. II, s. 94-106)

### **[Lud – mieszkańcy Bohatyrowiczów]**

Był to lud, ale lud, który nigdy nie podpierał strasznego gmachu przymusowej pracy ani twarzami w pył nie upadał pod piekielną obelgą chłosty. Był to lud, ale lud, za którym w dalekiej przeszłości jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw, aż do tąd w dusze i na drogi życia kładące mu zbladłe, lecz jeszcze nie zgasłe promienie. Był to lud namiętnie, niepohamowanie, do waśni zgryźliwych, aż do występku czasem chciwy tej ziemi, którą na kształt kreta kopał w cichości i nisko, ale lud z tą ziemią jak z matką spojony i wszystkie pulsły jej życia i losów we własnych losach i żyłach czujący. Był to lud ogorzały, w obfitym pocie skąpany, z grubą skórą na twarzach i rękach, ale z gładkimi i prostymi plecami, wielką siłą ramion i okiem, które, acz na ciasne widnokreśli, patrzyło śmiało i bystro. Gdziekolwiek stanęła ich większa nieco gromada, tam zdawać się mogło, że z ziemi wyrastał las dębów. Gdziekolwiek żywo i tłumnie zagadali, tam, zda się, przylatywały echa tej mowy, która brzmiała wówczas, gdy Rej z Nagłowic nad kuflem piwa i zrazem baraniej pieczeni gościł w Czarnolesiu. Gdziekolwiek zaśmieli się, spo między warg rumianych błyskały rzędy jak śnieg białych zębów; gdy zdjęli czapki, ukazywali czoła od policzków bielsze i czupryny płowe, złociste, rudawe, czarne, lecz zawsze jak las obfite i z fantazją mającą pozór dumy odrzucone w górę. Ale tak wyglądali tylko — młodzi. Starsi, niezbyt nawet starzy, chód miewali powolny, mowę rozważną, choć często obfitą, śmiech rzadki, oblicza zorane. Widać było, że życie, jakie wiedli, bardzo prędko uciszało ich, gasiło, z twarzy im wywabiało rumieńce, a nogi obciążało niewidzialnymi brzemionami. Grubobrzucha postać folwarczника Korozy i apoplektyczna cera Starzyńskiego stanowiły tu wyjątki. W zamian, chudością ciała przy wysokim wzroście i wyrazem cierpliwego zmęczenia na twarzy, u której wisały długie, czarne wąsy, uderzał Walenty Bohatyrowicz, siedmiorga dzieci ojciec, a właściciel dziesięciomorgowego grunciku; zaś drugi Bohatyrowicz, dla gorliwej pobożności swej Apostołem od dawna przezwany, wielkimi, ciemnymi szklami osłaniał zaognione i wpółślepe oczy.

Podstarzałe lub stare kobiety, tak samo jak rówieśnicy ich mężczyźni, najczęściej chude, czasem drobne i delikatne, sterane miały twarze i powolną, choć czasem i wpadającą w zapalczywość mowę, a jedną tylko posiadały cechę, której nie posiadali mężczyźni: ceremonialność obejścia się i poruszeń. W suto wygarniowanych kornetach lub nowożytniejszych czepkach, często nawet w prostych chustkach na głowach, w luźnych kaftanach i staroświeckich mantylach, z szerokimi kołnierzami u szyi i rękami pomarańczową prawie barwą odbijającymi od śnieżnych wygarniowań rękawów, składały one przed znajomymi układne dygi, wzajem sobie pierwszeństwa na ścieżkach i we drzwiach ustępowały, na górną lub skromną sadziły się mowę.  
 (E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. III, s. 114-116)

### **[Chłopi bez przewodnika – w rozmowie z Witoldem podczas wesela]**

— Żebyż to my onegdaj srokom spod ogonów powylatywali albo żeby ten, który pokazuje się nieprzyjacielem naszym, wczoraj z dopustu bożego od końca świata przybył, nie taką czuliśmy gorzkość. Cudzy, to cudzy! Ale my tutaj więcej prawie jak trzysta lat siedzimy, a panowie Korczyńscy może półtorasta Korczyn w swoim rodzie trzymają. Jeden Bóg naszym ojcem i jedna ziemia matką. Tedy gorsze my niż zwierzęta: bo i między zwierzętami swój swego zna. Wilk wilka nie pożera i kruk krukowi oczów nie wydziobuje...

Ktoś zza stołu przerwał:

— Kto komu teraz swój?

Walenty Bohatyrowicz powoli zawtórował:

— A ma się rozumieć! Nieboszczyk pan Andrzej to był swój!

— A jakże! — ozwały się westchnienia i głosy — jak jego nie stało, ojca i przewodnika nam nie stało. Krótco on żył na świecie, ale wiele dobrego zrobił, a bez niego my jak barany na rzeź odłączone zostali. Ni do kogo przytulić się, ni od kogo rady i światłości zacerpnąć nie mamy. Zewsząd otoczyły nas granice, których przestąpić nam nie wolno, i znikąd nie spodziewamy się rady, jak w tym ścisku i ograniczeniu ratować się i postępować. Podczas już myśli takie nas nachodzą, że wnuki albo może i dzieci nasze, jak jeszcze troszkę rozmnożą się, wszystko porzucą, na koniec świata pójda chleba szukać, bo tu już go dla nich nie wystarczy. Już tylko o dusze nasze nieśmiertelne przed Panem Bogiem ubijać się nam trzeba, aby na psie nie zeszyły. Niejednemu raz i przy każdej okazji my od pana Korczyńskiego słyszeli, że nadmiar głupi jesteśmy, to znów od szkodników i złodziejów on nas wyzywał. Może to nie ze wszystkim prawda, ale może trochę i prawda. Jednak winnymi się nie sądzim, bo i mądry robi się głupi, gdy go bieda złupi, a każdemu już wiadomo, że muchy gęściej na wrzodach siadać lubią jak na zdrowym cielem.  
 (E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. III, s. 169-170)

### **[Ojciec (Benedykt) i syn (Witold) – powracająca fala]**

– Przychodzę, mój ojczu, z ustami i sercem pełnymi... skarg!

– Na kogo? czyich? – zapytał Benedykt.

– Ludzkich... na ciebie, ojczu! [...]

– Dla siebie, ojczu, nic nie chcę, dla ludzi... wiele!

– Androny! – krzyknął Benedykt i żywo podnosząc się z fotelu, z płomieniem w oczach, z brwią namarszczoną mówił, a raczej wołał dalej: – Wiem, gdzie byłeś! domyślałam się, co ci tam nagadali! Skarżą się, że dobro ich zagrabiełam, że ich ze skóry ob-

dzieram, prawda?

– Tak, ojcze! [...]

– I wprzódę przekonany byłem, że myśl nawet o przywłaszczeniu sobie cudzej własności przejść ci, mój ojcze, przez głowę nie mogła...

– Więc cóż? więc o co chodzi? więc czyjaż w tej sprawie wina?

Witold ręce w tył założył i śmiałymi oczami pałający wzrok ojca spotykając odpowiedział:

– Twoja, ojcze!

– Facecja! – wybuchnął Benedykt. – Oni, jak tabaka w rogu ciemni, wierzą każdemu pokątnemu doradcy, który z nich sobie trzodę dojnych krów chce uczynić; oni na każdym kroku wyrządzają mi psoty i szkody...

– Przebacz, ojcze – przerwał Witold – dlaczego oni ciemni jak w rogu? dlaczego chciwością pazerni? dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej, niczyjej winy w tym nie ma, tylko ich jednych? [...]

Teraz wszystko, co uzbierał z książek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił demokratyczne idee i teorie, od których urzęczywistnienia, zdawało się mu, zależy skrzepnienie i odrodzenie narodów, jego narodu nade wszystko. Podporę dla najwyższych myśli i podbojów, na które w ciężkiej, wiekowej pracy zdobyła się ludzkość – a którymi u szczytów miały podmuchy chciwości i okrucieństwa – ratunek dla krwawych cierpień, które lasem rąk do nieba o pomstę wyciągniętych wyrastały z gruntu oranego przez złość i przemoc, widział on w ludzkim zrównaniu się i zbrataniu, w ukuciu spójnego łańcucha z ogniw, dotąd przez pychę, zawiść, chciwość, niewiedzę z sobą rozdzielanych. Od abstrakcji mających dla niego urok taki, że mówiąc o nich wyglądał jak człowiek w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniej, pałającej go rzeczywistości, opowiadał wszystko, co widział i słyszał tam, skąd przybył, powtarzał prośby, z którymi go tu przysłano, skargi i obwinienia, które szumiały mu jeszcze w uszach i paliły serce.

Benedykt nie przerywał już, milczał, a biegły chyba znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego przedwcześnie uwiędłej duszy. [...]

– Więc myślisz, ojcze, że ci, których młodość gotowa istotnie w każdej jaśniejszej chwili wytrysnąć swawolą i śmiechem, nie rozglądają się przecież w koło siebie, nie rozumieją, nie czują kurczów chłostanej dumy, nie mają litości, która w nich płacze, i trwogi o rzeczy drogie, która w nich krzyczy: "Ratunku!" i o ten ratunek zapytywać im każe wszystkich dróg czynu i wszystkich otchłani myśli? Kto tak mniema, niech o to zapyta naszych w poranku przekwitających twarzy, oczu od wpatrywania się w oblicze wiedzy przedwcześnie znużonych i tego, czego nikt dojrzyć nie może: tych wulkanów żalu, obrazy, nadaremnych porywów i złorzeczeń, które wrą nam w piersiach! Młody jestem! cóż stąd? Kiedy już z życia tyle wyssałem piołunowych soków, ile ich trzeba, ażeby w głowie szumiały pytania: skąd? za co? dlaczego? w takich pytaniach dusze dojrzewają prędko!...

Teraz w szerzej niż zwykle rozwartych oczach Benedykta malowało się osłupiałe prawie zdziwienie. Ten chłopak, ten mały – jak go dotąd jeszcze w myśli swej nazywał – już z bliska dotknął kąpieli cierpienia, w której on sam nurzał się od tak dawna; co więcej, z jednego źródła były dla nich obu kipiące i gorzkie jej wody. [...]

– Ciężko... straszno... straszno mi tak mówić do ciebie, ojcze! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkimi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? Czy pochod wieku, którego jesteśmy dziećmi? Czy wembrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które zalewając nam serca i gardła budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata i bezbrzeżne dla niego współczucie? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią... one są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedie... One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją? O, jej imienia, ty, ojcze, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą błądą marę strachu! a ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drzeniem przejmuję sam nawet brzęk ich łańcuchów... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...

– Witoldzie! [...]

– Wiesz ty? – szeptał – wiesz? może nie wiesz! ale ja to wiem... widziałem... wszak ty zginiesz! czy słyszysz? z tą zapalczywością swoją, z tym ogniem... z tym... to... tamto... zginiesz!... [...]

– Boże! Boże!

Tak samo niegdyś, z tą samą grozą w chacie Anzelma przed oknem ciemnością nocy zasłoniętym imienia boskiego przyzywał. Ale tym razem z ciemności, które mu przed oczami zapadły, wydobył się głos młodzieńczy, łagodny i dziwną jakby melodią przejęty:

– Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzeńki, w ogniu ofiary! Nie sąż także zginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa, rozkoszy ciała i nędzy ducha? [...]

Długo jeszcze patrzył na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd uścisku uwalniając obie dłonie ku czołu podniósł i glucho wyszeptał:

– Krwi moja! młodości moja! Falo, która nas niosła... powracająca falo!..

Z głową schyłąną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

– Powracająca falo! powracająca falo!

Były w tym szepcie groza i – zachwycenie. [...]

– Słuchaj – zaczął – jeżeli wam się zdaje, że wy to pierwsi wymyśliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedliwość, popełnicie błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości... [...]

– I w naszych ustach – mówił dalej – brzmiało niegdyś hasło poety: "Młodości! ty nad poziomy ulatuj!", i myśmy latali na mleczne drogi i w blaski jutrzeńki, i w ognie ofiary! Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! tożemy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatryli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie ślaliśmy przed nim... Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone własnymi choćby ciałami pragnęliśmy zmieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia! Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem... mogłem być wrogiem ludzi, którzy z niej powstałi? to ja... ale niemało, nie mało nas takich było! Śmiech bierze na wspomnienie! Młodzi mędrzy... poeci... rycerze... apostoły... wskrzesiciele... górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapaly! Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze! [...]

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

– Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie honor i ludzką cześć stracił... trzeci... trzeci przeżył życie zazdroszcząc temu, który w mogile leży! [...]

– Ojciec mój! do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięcznym ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samolubną mię nie chował. Gdyby nie ty, od kolebki pewno owinięto by mię w watę zbyt-ku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmunt, lalką z żurnalu mód wyciętą i niedoszłym jakim artystą, albo jak Rózyca, kartką welinu w roztworze morfiny umoczoną! [...]

– No, no! – rzekł – prawdziwie dziwy! Jakby mię fala jakaś z dna wód gorzkich i zimnych na ciepłą murawę wyrzuciła!... Ale teraz, chłopcze, spać idźmy... na parę godzin tylko... na parę godzin... byle trochę przespać się i odpocząć. Potem pójdziesz tam do nich i powiesz im, że tej kary sądowej nie żądam już... nie żądam... Istotnie, za wielką jest, a w tym, że ich oszuści wyzy-skują i do złego prowadzą – moja wina! O miedzę z nimi żyję i palcem, aby temu zapobiec, nie poruszyłem...

Uśmiechnął się smutnie.

– Andrzej by na mnie za to nożem cisnął! Ale nie siedź tam długo – mówił dalej – bo przecież wspólnie ułożyć musimy różne projekty i plany na dalszą przyszłość... a potem, pod wieczór, może razem popłyniem na... to... tamto...

Zająknął się.

– Na Mogiłę! – dokończył.

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. 4, s. 177-191)

### **[Zaręczona z Bohatyrowiczem Justyna odmawia Rózycom]**

— Justynko! Jak to? Ty taka dumna! Ty, co przez dumę nic ode mnie przyjąć nie chciałaś, kiedy ja ciebie, jak wypadało, ubierać pragnęłam! Ty, co przez dumę najniewinniej zażartowaś z siebie nie pozwalałaś! Ty odrzucasz teraz los świetny, wysokie stanowisko w świecie, a wyjść chcesz za chłopca... tak! Za chłopca... O Boże! Cóż to za tajemniczość! Jakie zagadki serc ludzkich!

Justyna uśmiechała się.

— Zagadki w tym żadnej nie ma — odpowiedziała. — Właśnie dlatego, że dumna jestem, nie chcę być wzięta za żonę przez wspaniałomyślność i bohaterstwo, przez cud Opatrzności albo świętego Antoniego, z łaski, z namowy... Wolę zawdzięczać byt i szczęście sercu człowieka, który mnie kocha, i wspólnej z nim pracy...

— Androny! — zawołał Benedykt. — (...) Wszystko to funta kłaków niewarte! Co w tym jest rzeczywistego, moje dziecko — do Justyny się zwrócił — to to, że może nie znasz dobrze tego życia, na które się decydujesz...

— Poznałam je z bliska i dobrze, mój wuju...

— Poczekaj! A praca! Czy ty wiesz, jaka cię praca tam czeka?

Tym razem uniosła się.

— Ależ, mój wuju — z mocą odparła — brak pracy właśnie był mi od dawna trucizną i wstydem. O, jakże wdzięczna jestem temu, który mnie pod niski, ale własny dach swój biorąc daje nie tylko zadowolenie serca, ale zajęcie dla rąk i myśli, zadanie życia, możliwość dopomagania komuś, pracowania na siebie i dla innych!...

Oczy Benedykta miękły, rozjaśniały się, coraz cieplejszym wejrzeniem w twarzy krewnej tkwiły. Wahającym się przecież głosem zaczął jeszcze:

— No... a z tą... z tą niestosownością umysłową jakże będzie?

— Nie ma jej, mój wuju; kto by tu niestosowność tę znalazł, sądziłby z pozorów. Uczoną nie jestem ani arystokratką; żadnych niepospolitych zdolności ani talentów nie mam i tylko tyle rozsądną jestem, by to znać i wiedzieć. Z tego, co umiem, bez wahaniami i żalu odrzucę to, co ani mnie, ani, jak mi się zdaje, nikomu pożytku by żadnego nie przyniosło. A jeżeli światła, z łaski twojej, mój wuju, otrzymanego, zostanie mi jeszcze trochę więcej niż on... niż oni go posiadają...

Wzruszenie głosu jej zatamowało; drżącymi ustami, ale z rozpromienionym czołem dokończyła:

— Z jakimże szczęściem pomiędzy nich je wniosę!... O! Z jakim szczęściem trzymać będę nad nimi ubogą moją lampkę, aby tylko im trochę widniej, jaśniej, weselej było!...

(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. 5, s. 214-215)

### **[Pojednanie przez mogiłę]**

Na koniec, Benedykt, kładąc dłoń na pochylonej przed nim głowie Jana, tonem zapytania wymówił:

— Syn Jerzego?

Anzelm wyprostował się i głowę odkrył. Ze snopa zmarszczek leżącego mu pomiędzy brwiami na wysokie czoło i aż na skronie cienkie nici rozbiegły się niby ukośne promienie. Rękę z wielką czapką wznosił nieco, na zaniemeński bór nią wskazał i trochę jękając się odpowiedział:

— Tego sa... samego, który z bratem pańskim w jednej mogile spoczywał!  
(E. Orzeszkowa, Nad Niemnem, t. III, r. 5, s. 226-227)